

„Kiedy przesuwiają się granice mojego języka, przesuwiają się granice mojego świata” – rozmowa z Grzegorzem Godlewskim

Krzysztofa Krowiranda – Gdyby, upraszczając, spróbować ująć historię słowa w skrócie, jako reprezentanta kultury oralnej, piśmiennej, a następnie kultury druku, jak można by scharakteryzować dzisiejszą jego kondycję i funkcje, a tym samym określić etap rozwoju (albo regresu) kultury?

Grzegorz Godlewski – Można to zrobić bardzo prosto i w dodatku w taki sposób, który pozwoli nie wyróżniać specjalnie obecnej epoki. Żyjemy w fazie przejścia. Stwierdzenie, że wcześniej istniały kultury pisma czy kultury druku, jest nie w pełni trafne, bo metonimiczne. Powiedziałbym, że były to kultury dominacji pisma czy dominacji druku, w których jednak funkcjonowały także wcześniejsze media, chociaż inaczej niż wtedy, kiedy nowych mediów nie było. Oralność piśmienna, żeby się wyrazić paradoksalnie, jest inna niż oralność pierwotna. W tej chwili znajdujemy się w kolejnej fazie przejścia czy w kolejnej fazie mieszanej, która podlega przede wszystkim wpływom nowych mediów cyfrowych. Odznaczają się one tym, że wiele cech np. pierwotnej oralności czy pierwotnej piśmienności rewitalizują. Dziś wyraźnie widzimy, że dychotomia oralność/piśmienność nie jest dychotomią czysto historyczną, związaną z pojawieniem się pisma, przekraczanego następnie przez kolejne media. Wydaje się, że to dychotomia najbardziej elementarna, której następne, bardziej zaawansowane technicznie środki przekazu nie przekraczają, nie unieważniają, ale ją na swój sposób frazują. Wiadomo, że media audiowizualne przywracają pewne formy oralności, jakiejś oralności wtórnej, podobnie jak Internet wskrzesza na swój sposób piśmienność – mówi się o wtórnej piśmienności itd. To, co się tu pojawia nowego, nie dzieje się na poziomie kształtu medium czy jego wpływu na formowanie umysłu i recepcję świata dookolnego, ale na poziomie samej komunikacji. Media cyfrowe, zwłaszcza sieć, dokonują rzeczywiście rewitalizacji wzajemności. Nie bez powodu o tym, kto posługuje

się Internetem, mówi się użytkownik, nie odbiorca. Powracają takie określenia jak żeglowanie, surfowanie, a to wskazuje, że Internet jest medium nie tyle otwierającym możliwości, co wymuszającym na użytkownika choćby minimalny poziom aktywności, wyższy aniżeli ten, którego wymaga kultura masowa. Wybór, przed jakim staje użytkownik Internetu, nie ogranicza się do użycia pilota. To coś więcej. Wybieram nie tylko konkretny przekaz, ale muszę, obcując z nim, być aktywny, nawet jeśli ma być to aktywność czysto cielesna, jestem zmuszony w czynny sposób decydować o następnym kroku i często ta decyzja nie ma charakteru czysto formalnego. Mam wrażenie, że zmiana modelu komunikacji, związana z aktywizacją odbiorcy, może oddziaływać też na pozainternetowe formy komunikacji; kto zasmakuje tego rodzaju udziału w komunikowaniu się, z trudem będzie się dawał zepchnąć potem do roli biernego odbiorcy. Pozwolę sobie na sentencjonalną uwagę: aktywność jest trudniejsza, wymaga większego wysiłku, ale jak się jej spróbuje, to z reguły dostarcza większej frajdy. To diagnoza, ale wyposażona w element nadziei. W odbiorze nowych mediów dominują postawy skrajne: bardzo entuzjastyczne albo lękowe, demonizujące je. Myślę, że należy tutaj dobrze wyważać racje. Widzę na przykład wspomniany pozytywny aspekt mediów najnowszych, natomiast to, czego się obawiam tak w odniesieniu do Internetu, jak i do tych środków przekazu, które już wcześniej się ugruntowały, to dążenie do monopolu. Wielomedialność kultury współczesnej uważam za walor. Choć oczywiście Internet w poszczególnych przypadkach bywa chorobliwie groźny, może uzależniać, ale myślę, że im więcej mediów, tym mniejsze szanse, że któreś z nich zawładnie rynkiem; każdy monopol, każda dominacja jest niebezpieczna, chociażby dlatego, że kanalizuje obraz świata, coś otwiera, ale też coś zamyka.

Krzysztofa Krowiranda – Mówiąc o etapach istnienia słowa, celowo użyłam skrótu i uproszczenia, żeby wskazać właśnie moment dominacji, bez wikłania się w subtelności dotyczące historii słowa i historii środków jego przekazu.

Grzegorz Godlewski – Rozumiem, ale to uściślenie było mi potrzebne do uchwycenia zjawiska wielomedialności.

Krzysztofa Krowiranda – Można zatem wnioskować, że samo słowo wkracza w następny etap, a może raczej kolejny zyskuje poziom wtórności, że zwiększa się jego ambiwalencja?

Grzegorz Godlewski – Tak. Słowo staje się bardziej opalizujące, migotliwe, ale widzę tu przede wszystkim zmianę ilościową, a nie jakościową. Słowo w ogóle jest nieuchwytnie i trudne do przygwożdżenia. Pamiętam swoje doświadczenia z okazji przygotowywania programu z antropologii słowa – gdzieś trzeba przecież napisać, a potem na zajęciach powiedzieć, co to jest słowo, jak się ma w relacji do takich kategorii jak język, wypowiedzenie, *langue, parole* itd. Staralem się tego uniknąć, chyba na zajęciach też uniknąłem (*śmiech*), bo gdybym miał powiedzieć stanowczo, czym jest słowo, nie potrafiłbym. Powiedziałbym, że do natury słowa należy to, że repertuar jego użycia jest niedomknięty i że to niedomknięcie stanowi istotową cechę słowa. Ono ma to do siebie, że owszem, pozostaje bardzo głęboko w wewnętrznym doświadczeniu człowieka, ale stanowi też osobną rzeczywistość, rzeczywistość otwartą. Kiedy patrzy się na historię słowa, to widać, jak ono pojawia się w takich postaciach, które były wcześniej zupełnie nieprzeczuwane. Kiedy okazało się, że słowo może trwać, że może być nie tylko wydarzeniem, że może być oglądane, a nie tylko słuchane, zmienił się repertuar jego możliwości. Zmian niespektakularnych rzecz jasna było dużo i jeszcze wiele nastąpi. To rzeczywiście jest objaw wielofunkcyjności, wielopostaciowości słowa.

Krzysztofa Krowiranda – Zmieniają się użycia słowa?

Grzegorz Godlewski – Zmieniają się użycia, pewne z nich się starzeją, wygasają, na ich miejscu pojawiają się nowe. Słowo żyje, jeśli chodzi o repertuar zastosowań.

Krzysztofa Krowiranda – Dochodzi do tego potencjał wieloznaczności, który tkwi w samym słowie, potencjał wchodzenia w różne interakcje.

Grzegorz Godlewski - Słowo ma właśnie to do siebie, że może być sensownie definiowane tylko przez antynomie. Nie da się mówić o języku bez porozumienia się co do znaczenia. Słowo musi się opierać na jakimś porozumieniu, uspołecznieniu, intersubiektywności znaczeń. Komunikacja to zapewne nie jedyna funkcja słowa, ale z kolei trudno sobie wyobrazić słowo bez komunikacji. Z drugiej strony siłą, również tych ogólnych zastosowań, okazuje się to, że słowo zdaje się zwodzić. Kiedy ma się wrażenie, że już się je łapie, ono mówi: „mnie tu już nie ma”. Można z tego czerpać różne przyjemności, elementarne, codzienne. W różnych środowiskach uprawia się gry słów, kalambury, które nie są czymś zupełnie niewinnym, bo pokazują, że potencja połączeń, relacji, skojarzeń tkwi w czymś, co ma charakter aintelektualny. Różne brzmieniowe podobieństwa, wykorzystywane w owych grach, nie są wymyślone – drzemią w słowie już wcześniej, niczym rzeźba w kamieniu, którą trzeba po prostu z niego wydobyć. Ta wieloznaczność jawi się jako cień jednoznaczności.

Żaneta Nalewajk – Szesnastowieczny włoski poeta Tasso mówił: „Non merito nome di creatore, se non Iddio ed il Poeta” – „Nie zasługuje na imię twórcy nikt poza Bogiem i poza Poetą”. Angielski romantyk, Percy Bysshe Shelley w *Obronie poezji* wyraził pogląd, że „poeci są nienazwanymi prawodawcami świata”. Jednak już francuski symbolista Paul Valéry pisał: „Poezja jest przetrwaniem śmierci. Jest ona w epoce symplifikacji języka, upadku i zwyrodnienia form oraz obojętności względem nich – rzeczą szczątkową, zanikającą. Chcę przez to powiedzieć, że w naszych czasach nie wynaleziono by wierszy. Tak samo zresztą, jak nie wynaleziono by obrzędów wszelkiego rodzaju”. Do diagnostów postępującej coraz bardziej w dwudziestym wieku desakralizacji słowa należy Tadeusz Różewicz. W *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* czytamy: „Uprawiać można jeszcze poezję tylko przez ciągłą kompromitację. Niech ginie. Nieporadna, wystraszona, sprzedajna, w błazeńskiej czapce na głowie. Widzicie drogę krzyżową? Droga

krzyżowa w wesołym miasteczku. Czy to jest droga współczesnej poezji? Jakie śmieszne są dramaty poetów. Przecież zdają sobie z tego sprawę, że są niepotrzebni. Tylko niewidomy człowiek może jeszcze pisać wiersze i coś osiągnąć. Gaduła, błazen, egoista, komediant. [...] Ale czemu obawiają się nas władcy [...]. Boją się ludzi słowa. Tego zbrudzonego, zdeptanego, wytartego słowa. Boją się. Wiedzą, że na początku jest słowo. Nie, to nie jest prawda! To fałsz!”. Gdzie upatrywałby Pan przyczyny rozerwania związku słowa z *sacrum*, osłabienia przekonania o kreacyjnej mocy języka poetyckiego?

Grzegorz Godlewski – Myślę, że diagnoza zakładająca związek słowa z *sacrum* jest głęboko niesłuszna. Żyjemy wszyscy po upadku wieży Babel, w czasach po ostatnim dniu stworzenia świata, w ostateczności zakończonym upadkiem, który zdaje się konsekwencją stworzenia. Po zburzeniu wieży Babel słowo nie partycypuje w swojej pierwotnej naturze i samo przez się w *sacrum*. Nie mówimy językiem Adamowym. Poezja powstawała równolegle z rytuałem, z odnawianiem jego znaczenia. Oczywiście była ona od początku rodzajem uzurpacji, uzurpacji mocy kreacyjnej. Poezja to próba budowania wieży Babel, tyle że pozbawiona mocy dawnych budowniczych. Poezja jest uzurpacją, i każdy poeta próbuje sięgnąć nieba – nie w tym sensie, żeby dorównać Bogu w Jego chwale, ale żeby przejąć Jego moc kreacyjną. Poezja jest uzurpacją, bo kreuje światy, w których byty pojawiają się i znikają, są bardziej płynne niż twarda rzeczywistość stworzona przez Boga. Związek słowa z *sacrum* jest nieuchronnie dwojaki: istnieje słowo, nazwijmy je zstępującym, słowo objawione – i słowo wstępujące, słowo-wehikuł, którym człowiek chce się dostać do *sacrum*. Stan słowa objawionego można uznać za analogiczny, wręcz tożsamy ze stanem religii. Wraz z odczarowaniem świata nie zanika, ale zajmuje miejsce wyspecjalizowane. Słowo święte to słowo wyspecjalizowane, ważne tylko dla niektórych, jego moce są w różny sposób ograniczone. A co jest słowem wstępującym? Wstępującym albo do Boga, albo do tego otwartego nieba poezji, gdzie Bóg to hipoteza albo marzenie? Dawne kultury miały

własne sposoby, swoje wzory i techniki „trampoliny”, przerzucające człowieka do Boga. Mogły one być indywidualne, jak na przykład techniki szamanistyczne, albo zbiorowe, jak techniki związane z obrzędem, modlitwą. Nie chodzi o modlitwę w naszym rozumieniu, jako dialog czy monolog. Modlitwa też była techniką. Techniki te dawały pewną gwarancję skuteczności słowa – wierzone, że jeśli nawet nie doprowadzą człowieka bezpośrednio do Boga, to na pewno go w Jego stronę wyrzucą. Natomiast wraz z narodzeniem się człowieka jako jednostki, jako podmiotu moralnego, wraz z indywidualizacją doświadczenia, zanikły te sposoby zbliżania się do Stwórcy. Mam wrażenie, że Tasso wypowiada się właśnie w chwili, w której coś się przełamało, chociaż ani po raz pierwszy, ani ostatecznie. Obecnie każdy musi taką technikę na własny użytek wynaleźć – tutaj imitacje nie działają, bo od czasu, kiedy każdy jest zmuszony podejmować na własny rachunek decyzje moralne, żadne sposoby nie przenoszą się z jednostki na jednostkę. Słowo, pozbawione wsparcia wspólnoty, próbuje osiągać wspomniane cele w sposób indywidualny. Największą siłą budowniczych wieży Babel, która ich zaprowadziła prawie pod niebiosa, było to, że to, co robili, mogli robić wspólnie. Właśnie na tym polegała siła języka przed zburzenia wieży Babel. Pozwalał on naprawdę zespolić dążenia. Wspólny wysiłek konstruktorów był większy niż suma ich poszczególnych działań. Teraz jesteśmy skazani na budowanie wieży Babel w pojedynkę.

Zaneta Nalewajk – No tak, ale twórcy tacy jak Różewicz powątpiewają w doskonałość tej indywidualnej konstrukcji. Autor W wierszu *Moja poezja* pisał: „niczego nie tłumaczy/ niczego nie wyjaśnia/ niczego się nie wyrzeka/ nie ogarnia całości/ nie spełnia nadziei/ [...] jest posłuszna własnej konieczności/ własnym możliwościom/ i ograniczeniom/ przegrywa sama ze sobą/ [...] ma wiele zadań/ którym nigdy nie podoła”.

Grzegorz Godlewski – Mam trochę inną diagnozę poezji Różewicza. Ta poezja wcale nie jest poezją pustki. Ona konsekwentnie nie pozwala sobie mieć

nadziei. To poezja bardzo konsekwentna, która mówi: tego już nie ma, nie można tego ruszać...

Żaneta Nalewajk – Wydaje mi się, że nie ma między nami sporu. Poezja Różewicza to zapis w poetyce negatywnej. Zawsze uważałam, że jest podszyta głęboką beznadziejną tęsknotą.

Grzegorz Godlewski – To szkoda właściwie.

Żaneta Nalewajk – „Niech żywi nie tracą nadziei”. Może jeszcze uda się nam pokłócić (*śmiech*).

Grzegorz Godlewski – To jest ewidentnie rodzaj teologii apofatycznej. W późnych tekstach Różewicza widać to wyraźnie wtedy, kiedy on penetruje pewne doświadczenia graniczne, kiedy już nie jest poetą cywilizacji, ale poetą swojego doświadczenia biograficznego, widzianego mniej cywilizacyjnie, a bardziej egzystencjalnie. Nie uważam tej poezji za znak pełnej rezygnacji, to poezja rezygnacji z pewnych mocy języka. To kwestia smaku, gustu – Różewicz nie mógł sobie pozwolić na język, który uznał za martwy. *Sacrum* też może umrzeć – nie jest transcendencją, ale czymś, co sytuuje się w horyzoncie człowieka, a coś, co się w tym horyzoncie znalazło, jawi się jako śmiertelne. Ale język poezji Różewicza to nie jest język kogoś, kto mówi: tak wygląda ten nasz wstrętny świat, ale żyjemy w nim, jak się da, i to wszystko.

Żaneta Nalewajk – W lekturze tomów wierszy Różewicza uderza duża częstotliwość, z jaką powraca słowo Bóg. Nawet wtedy, kiedy pojawia się przez zaprzeczenie, jego obecność określa rejon duchowych poszukiwań poety.

Krzysztofa Krowiranda – Charakteryzując tytułową kategorię tekstu *Człowiek teatralny*, Andrzej Falkiewicz, wychodzi od przypomnienia, iż najwcześniejszym językiem człowieka był język fizyczny – gestów i znaków, by skonstatować: „myśl staje się myślą, gdy uniezależnia się od świata i może być błędną myślą, a język staje się ludzkim językiem, dopiero gdy stać go na kłamstwo”. Jak by Pan zinterpretował to stwierdzenie?

Grzegorz Godlewski – Jak zwykle zgadzam się z Andrzejem

Falkiewiczem (*śmiech*).

Krzysztofa Krowiranda – To bardzo ciekawa diagnoza z poziomu meta, uchwycenie momentu, w którym rodzą się świadomość i autorefleksja.

Grzegorz Godlewski – Tak, według mojego sposobu rozumienia języka jego początek sytuuje się w tym momencie, gdy zaczyna się on choćby w minimalny sposób autonomizować. Z pewnością powiedzieć można, iż komunikowanie się przez dźwięk nie jest wystarczające, by móc mówić o języku. Język powstaje wtedy, kiedy się autonomizuje. Po pierwsze, w tym sensie, że stwarza osobną przestrzeń, w której rozgrywa się zarówno ludzka wiedza, poznanie, jak też ludzkie doświadczenie. Po drugie, tym sensie, że ulega konwencjonalizacji. Tu muszę wtrącić komentarz. Twierdzi się, że mocą języka jest jego konwencjonalność, tak jak siłą pisma alfabetycznego jest to, że znaki są niepodobne do tego, co mają oznaczać (w przeciwieństwie do pisma piktograficznego), co daje pewną swobodę w kreacji „znaczących”, a zatem możliwość powoływania do życia nowych „znaczonych”. To powoduje, że relacja między „znaczącym” a „znaczonym”, która jeszcze nie jest konwencjonalna w przypadku gestu, tu się konwencjonalizuje. Różne kultury mają swoje gesty, ale one nie są wymyślane arbitralnie – stanowią opracowanie, ustabilizowanie jakichś zachowań spontanicznych albo symboli naturalnych. Natomiast kiedy się pojawia konwencjonalizacja, mamy do czynienia z sytuacją, w której słowo nie jest obciążone koniecznością zachowania wierności wobec rzeczywistości, bo jego związek z nią polega na czymś zupełnie innym. Z konwencjami zaś można postępować różnie. Można na przykład komunikować świadomie znaczenia, których się nie ma na myśli. I to jest siła, interpretowana oczywiście w kategoriach pozamoralnych. Wspominałem już, że muszę uczynić jedno zastrzeżenie na temat konwencjonalności. Nie sposób go pominąć, skoro przed chwilą mówiliśmy o języku poezji. Język w sposób oczywisty ma charakter konwencjonalny, relacja między „znaczącym” a „znaczonym” cechuje się arbitralnością, ale tylko wtedy, gdy myślimy o języku jako czymś

abstrakcyjnym. Dla człowieka mówiącego ten związek okazuje się niearbitralny. Dla mnie słowo „matka”, jego brzmienie, jest nierozdzielnie związane z konkretnym znaczeniem i tylko dzięki temu poeta, czy ktokolwiek inny, ale poeta w szczególności, może tworzyć światy, których nie ma. Czym jest tworzenie, czym jest kreacja w poezji? To swoiste autotranscendowanie języka, przekraczanie ograniczeń. Poeta nie mógłby tego robić, gdyby to były dla niego konwencjonalne symbole, które można z powodzeniem zbudować przez operacje czysto logiczne. Z takiego podejścia do słowa dla poezji nic nie wynika. Chodzi o to, żeby stworzyć nowe światy, mające w sobie smak, ciało, zawierające różne jakości istniejącej rzeczywistości, ale żeby zarazem były czymś więcej. To jest możliwe tylko wtedy, kiedy język będzie zarazem konwencjonalny i bliski. Bliski, czyli niearbitralny. Przesłanki takiego typu myślenia, jakie przejawia się w cytowanej wypowiedzi Falkiewicza, tkwią u początków nowożytnej refleksji nad językiem. Pod koniec XVIII wieku zaczęto naprawdę sensownie myśleć o języku. Często wówczas padały takie stwierdzenia, że język dobiega się pełni swoich możliwości wtedy, gdy potrafi służyć różnym panom, kiedy staje się jasne, że nie ma charakteru naturalnego. „Ja” wydaje jakieś dźwięki wtedy, gdy coś czuje. Kiedy odczuwa jakieś emocje, to nieświadomie, spontanicznie zaczyna coś artykułować. Czy mogę wtedy kłamać? Teoretycznie tak, chociaż prawdopodobnie, jeżeli nie jestem profesjonalistą, to w większości przypadków te spontaniczne dźwięki, pomruki czy cokolwiek innego, będą kompletnie niewiarygodne. Natomiast język, stwarzając osobną przestrzeń, która nie jest weryfikowana kategoriami spontaniczności, daje możliwość wiarygodnego mówienia rzeczy nieprawdziwych. Ale to konieczna cena, jaką się płaci za możliwość stwarzania nowych światów. Jeżeli możemy kłamać, to możemy też stwarzać nowe światy.

Żaneta Nalewajk – W Pana wypowiedzi pojawiła się intrygująca kategoria „profesjonalnego kłamstwa”. Czy mógłby pan rozwinąć ten wątek?
(śmiech)

Grzegorz Godlewski – Mówiłem o sprawie zupełnie banalnej, o kłamaniu w geście, o aktorstwie. Aktorzy, grając, potrafią być wiarygodni. Co prawda wszyscy gramy, ale gra aktorska jest metagrą. Kiedy mówię o kłamstwie profesjonalnym, mam na myśli chociażby kłamstwo mowy ciała – do tego potrzebny jest profesjonalizm, zbędny w sytuacjach, kiedy chce się kłamać w języku. Chociaż i to nie wszyscy potrafią, ale to raczej kwestia talentu, nie zawodowstwa. (*śmiech*)

Krzysztofa Krowiranda – Aż się prosi w tym momencie przywołanie odwiecznego problemu nauk humanistycznych: fikcji w twórczości artystycznej, relacji kłamstwa i fikcji, pytania, czy każda kreacja musi zawierać element kłamstwa (pierwiastek fikcji?). Kryje się tu gąszcz zagadnień. Powiedział Pan, że kłamstwo jest potrzebne niestety, może niekoniecznie niestety?

Grzegorz Godlewski – Według mnie te kategorie do twórczości, do jej wytworów słabo przylegają. Źle je opisują. Jeżeli w starożytnej Grecji słuchano aoidy, który śpiewał o jakichś wydarzeniach, to czy słuchano prawdy? Myślę, że Grecy byli mało naiwni i tak do końca w owe pieśni nie wierzyli. Czy oni uważali, że to fikcja? Na pewno nie. Czy uważali, że to kłamstwo? Też nie. Myślę, że wprowadzenie tych kategorii jest związane z jednowymiarową ontologią. Wytwarzanie innych światów poprzez język, poprzez słowo nie musi być związane z prawdą pozajęzykową. Nie musi być od razu ani fikcją, ani kłamstwem, może być inną rzeczywistością. Prawda mitu dla ludzi w niego wierzących jest prawdą dotyczącą rzeczywistości innej niż ta, z którą mają do czynienia na co dzień. Ale zdecydowanie nie mniej mocnej i prawdziwej, wręcz odwrotnie. Jestem przywiązany takiego rozumienia istoty literatury, jakiemu podstawy dał Paul Ricoeur. Czym jego zdaniem różni się wypowiedź literacka od nieliterackiej? Tym, że w przypadku poezji referencją jest cały świat. Przy czym nie chodzi o świat w znaczeniu potocznym, geograficznym ani jakimkolwiek gotowym. Dzieło tworzy nowe światy i czyta się je jak dzieło literackie wówczas, gdy możemy spróbować zrekonstruować na jego podstawie

projekt jakiegoś uniwersum. Niekoniecznie uniwersum wszechogarniającego, powszechnego, obowiązującego – ale czyjegoś, jakiegoś, zabarwionego, subiektywnego, tworzonego z określonej perspektywy, konkretnego punktu widzenia. Niemniej będącego wizją pewnej całości – jak świat Homera, Szekspira, Kafki. Czy te wizje mogą być uznane za prawdziwe czy fałszywe? One sytuują się poza prawdą, są projektami, myślami o świecie. Ale takimi myślami, które nie stanowią ani bezpośredniego odzwierciedlenia rzeczywistości, ani czystej kreacji. To próby wydobywania z tego, co jest, jakiegoś projektu, określonej całości. W tym sensie każde dzieło to znak hermeneutycznej lektury świata.

Krzysztofa Krowiranda – Pytanie było oczywiście zadane z perspektywy przedindustrialnej. Przecież po dziś dzień trwają spory, mnożą się koncepcje, poziomy fikcyjności, interpretacje specjalistów od autorefleksji.

Grzegorz Godlewski – Tak, oddzielną odnogą problemu jest przecież teoria aktów mowy czy koncepcje dotyczące statusu wypowiedzi. Mnie to przypomina bardzo precyzyjne przyglądanie się, jak działają tryby w maszynie. Ale trzeba jednak zacząć od ogólnej perspektywy, bo inaczej zgubi się sens tych trybików. Co mi przyjdzie z tego, że będę dokładnie znał status intencjonalności zdania, jeżeli nie wprowadzę tego od początku i w sposób bardzo wyrazisty w całość pod tytułem: co to jest literatura i po co jest literatura. Nie w znaczeniu ogólnym, to jest zmienne – nie można mówić o literaturze w ogóle, słowa należy brać z mediami, które nie niosą. Kiedy obserwuję, co ludzie czytają, po co to robią, jaką funkcję pełni literatura czy w ogóle sztuka w kulturze, to na przestrzeni tych trzydziestu-czterdziestu lat dostrzegam kolosalne zmiany, kompletnie odwracające wcześniejszy porządek. Tropienie bardzo ściśle wyważonych, również logicznie, właściwości wypowiedzi czy statusu dzieła artystycznego bez tego kontekstu jest moim zdaniem działaniem w znacznej mierze jałowym.

Żaneta Nalewajk – Samuel Beckett w *Trzech dialogach z Georges'em Duthuit* opublikowanych w cyklu esejów pt. *Wierność przegranej* rozważał w odniesieniu do malarstwa relację pomiędzy artystą a tym, co go warunkuje. Autor *Końcówki* stwierdził: „Jest rzeczą oczywistą, że dla artysty, który czuje powołanie do tego, aby wyrażać, wszystko musi się stać do tego powodem, włącznie z poszukiwaniem takiego powodu. [...] Historia malarstwa - powtarzam to do znudzenia – jest historią prób wyzwolenia się z poczucia przegranej, poprzez odkrywanie coraz prawdziwszych, głębszych, ogólniejszych zależności między przedstawiającym a przedstawianym. [...] Dobrze wiem, że pozostało nam teraz tylko – by nawet i tę potworność jakoś pozytywnie rozwiązać – że pozostało nam teraz tylko owo pogodzenie się, przyznanie; pozostało nam ową wierność przegranej potraktować jako nowy powód, jako nowy element zależności, a owo niemożliwe a konieczne i podejmowane działanie uczynić działaniem na rzecz, choćby wyrażenia samego siebie, czyli swej niemożliwości a zarazem konieczności”. W zacytowanym fragmencie Beckett zajmuje się niewyraźnością w malarstwie. Czy z podobnym problemem nie zmagają się od początku swego istnienia sztuka słowa?

Grzegorz Godlewski – Doświadcza go, natomiast od początku się nie zmagają, to nie zawsze stanowiło problem. Kiedy myślę o bardziej archaicznych formach sztuki słowa, to jasne jest, że były sfery życia słowu podległe i takie, które mu nie podlegały. Istniał pewien stabilny podział, niebudzący w nikim niepokoju, niestanowiący problemu w sferze religii. Ogólnie zdawano sobie sprawę, że niewyraźne istnieje i ma istnieć jako niewyraźne. Szukano takich możliwości słowa, które, jak mówiłem na początku, wyrzucą człowieka do góry, które będą dla niego katapultą czy trampoliną, mogącą go do owego niewyraźnego przybliżyć, ale bez nadziei doprowadzenia go tam w pełni, całkowicie. Ci, którzy mieli za sobą doświadczenia mistyczne, nie dzięki słowu, ale często mimo niego, najchętniej by milczeli. Raporty z doświadczeń mistycznych są często relacjami pisanymi przez zaciśnięte gardło, z

konieczności, z poczucia odpowiedzialności. Niewyraźalność nie była problemem. Obecnie coraz więcej studentów zgłasza się do mnie z pomysłem pisania prac rocznych o milczeniu, o ciszy. Z jednej strony jest to związane z tym, że równoległe z kryzysem słowa coraz trudniej nam pogodzić się z istnieniem takich doświadczeń i takich sfer rzeczywistości, o których nie można opowiedzieć, nawet w sposób nieudany. Myślę, że w kulturze współczesnej głęboko tkwi potrzeba, żeby odsłaniać tajemnice, nie pozostawiać żadnych stref, przed którymi trzeba się zatrzymać. Tendencja kulturowa niewątpliwie jest taka, żeby wszystko było na wierzchu, aby zostało opowiedziane czy zrelacjonowane. Ale mimo usilnych starań takie sfery pozostają. Sama wola obalenia tabu nie zawsze wystarcza. To, że owe sfery istnieją, niepokoi, bo chciałoby się, żeby wszystko zostało wyrażone, nazwane, żeby wszystko mogło stać się punktem w wiadomościach telewizyjnych. Ale nie każde zdarzenie czy doświadczenie da się opowiedzieć, zwłaszcza w półtorej minuty. To pierwsza sprawa. Drugą zacząłbym od przywołania znanej sentencji Wittgensteina: „Granice mojego języka są granicami mojego świata”, którą przeformułowałbym następująco: kiedy przesuwają się granice mojego języka, przesuwają się granice mojego świata. To znaczy język, owszem, stwarza granice, ale one się zmieniają. I jeżeli jest tak, że możliwości na przykład języka sakralnego, o czym mówiliśmy wcześniej, zmniejszają się, zanikają, to otwierają się nowe przestrzenie, które są przez ten język niezagospodarowane, które nie dają do niego dostępu. Logorea przestaje być czymś strasznym, zniechęcającym. Sytuacja przypomina trochę upodobania niektórych do dźwięków miasta – źle się czują na wsi, nie mogą spać, przytłacza ich cisza. Tak samo jest ze słowem. Wszyscy cierpią z powodu nadmiaru słów, zagadywania doświadczeń, ale tak naprawdę potrzebują ich, bo źle znoszą milczenie, ciszę. Granice wyznaczane przez język przesuwają się i jest to proces w pewnej mierze historyczny. Człowieka dzisiejszego rzeczywiście irytuje i drażni istnienie sfer niewyraźalności, stąd potrzeba ich tropienia, pomimo całej omnipotencji słowa, jego otwartych możliwości, które

nigdy nie zostaną ograniczone. Gdyby spróbować przełożyć to, co powiedziałem, ze spekulacji czysto intelektualnej na doświadczenie, myślę, że można by spróbować treningu milczenia, powstrzymania się od dialogu. Leszek Kolankiewicz prowadził wiele lat temu takie zajęcia, silentorium, oparte, jak sądzę, na doświadczeniach czerpanych od Jerzego Grotowskiego. Na tych warsztatach trzeba było robić różne techniczne rzeczy, ale obowiązywał zakaz komunikowania się werbalnego. Znam to z drugiej ręki, ale wiem, że poddanie się tej zasadzie okazało się dla uczestników strasznie trudne. Po kryzysie, kiedy – jak mogę się domyślać, nie byłem przy tym – połowa uczestników dostawała hysterii, demolowała pomieszczenie i wynosiła się do domu, gdzie mogła sobie spokojnie pogadać, ci, którzy zostali, zaczęli odkrywać w sobie niewykorzystywane dotychczas sposoby komunikacji. Nie chodzi o to, że wymyślili jakiś sztuczny język migowy – odkryli w sobie taki rodzaj komunikacji, który polega na przytomnym współbyciu w tej samej sytuacji. Pojawiają się pewne wspólne rysy, których nie trzeba sobie nawzajem komunikować, bo są rysami właśnie.

Krzysztofa Krowiranda – Czy to, co nienazwane, nie istnieje? Czy też człowiek w swojej pysze, nie mając władzy nad tym, co nienazwane, wyklucza je na mocy decyzji?

Grzegorz Godlewski – No, pytanie jest dobre. Potrafię odpowiedzieć na nie albo bardzo ogólnie, albo bardzo konkretnie, zacznę od tego pierwszego poziomu.

Krzysztofa Krowiranda - Udało mi się pana przygwoździć.

Grzegorz Godlewski - Ja nie jestem dobrym analitykiem. Rozważając kwestię roli nazwania tego, co nienazwane, trzeba określić, o jakim świecie mówimy. Jeżeli o ludzkim, to należy pamiętać, że znaczenie tego terminu pozostaje dość mgliste. Pomimo jego braku wyrazistości towarzyszy mi jednak przekonanie, iż bez względu na wszystkie destrukcje wspomnianego pojęcia, które dokonane zostały przez dwudziestowieczną filozofię, można i powinno się

mówić o istnieniu świata. Oczywiście nie jest tak, że nienazwane nie istnieje. Nazywamy dlatego, żeby to, co nie miało uprzednio nazwy, włączyć do ludzkiego świata, a może nie tylko włączyć, ale też poddać sobie. Za tą potrzebą nazywania kryłaby się po prostu potrzeba władzy. Jeśli przywołamy kontekst Biblii, okaże się, że Adam uzyskując zdolność nazywania, otrzymał władzę tylko nad zwierzętami, i to tylko niektórymi. Biblijny bohater partycypował zatem w mocy twórczej Boga jedynie częściowo, bo Bóg stwarzał przez słowo i nadawał własne nazwy, Adam zaś tylko nazywał. Nie miał możliwości nazywania nieba i ziemi, dnia ani nocy. Rzecz, by można, że niebo i ziemia, dzień i noc, nienazwane przez Adama, znajdują się poza zasięgiem jego mocy. Poza panowaniem, również poznawczym. To, co nienazwane, może oczywiście sytuować się w horyzoncie doświadczenia człowieka, ale wówczas pozostaje od niego niezależne.

Krzysztofa Krowiranda – Byłaby to kwestia zawłaszczania i oswojenia, prawda?

Grzegorz Godlewski – Tak. Myślę, że kiedy zaczynamy coś oswajać słowem, zamawiać, zawłaszczając zaklęciami, to ten proces roztaczania władzy okazuje się bardzo trudny do powstrzymania. Tymczasem niektóre sfery rzeczywistości nie mogą znajdować się pod panowaniem człowieka. Tu właśnie rozciąga się przestrzeń milczenia, tego, co jest niewyraźne, nienazwane. I takie właśnie powinno pozostać.

Żaneta Nalewajk – Chciałabym zadać Panu nieco prowokacyjne pytanie o status słowa w teorii, czy szerzej w naukach humanistycznych. Badaczom często – w niektórych przypadkach pewnie nie bez racji – zarzuca się niezrozumiałość, porzucenie standardów systematycznego wywodu, brak dążenia do jasnego i precyzyjnego wyrażania myśli, mnożenie abstrakcyjnych konstrukcji, niedostateczne zainteresowanie kwestią ich przydatności do czegokolwiek. Z teoretycznego nadmiaru pokpiwał sobie sentencjonalnie Sławomir Mrozek, pisząc: „Teorie bowiem powstają nie tyle z potrzeby, ile z

możliwości”. Problem pojawia się wtedy, kiedy tego typu opinie powielane są w sposób nagminny bez jakiegokolwiek weryfikacji. Kiedy próbuje się odeprzeć te często powtarzane, wręcz stereotypowe zarzuty o dużej sile rażenia, przychodzi w sukurs Georg Christoph Lichtenberg, który sugerował większą złożoność zagadnienia odbioru słowa. Wspomniany aforysta i krytyk sztuki pytał przekornie: „Jeżeli po zderzeniu książki z głową powstaje pusty dźwięk, czy zawsze jest to wina książki?”. Warto może przyjrzeć się nieco tej problematyce, ze względu na nasilającą się niechęć do postrzegania aktywności teoretycznej jako działania twórczego. Tego problemu nie mają ci, którzy za przedmiot badań obrali coś innego niż słowo. Zwracał na to uwagę Wystan Hugh Auden w eseju *O pisaniu*: najbardziej zazdrościł matematykom tego, że kasjerzy nie wyrażają wzburzenia z powodu niezrozumiałości współczesnej matematyki. Czy mógłby Pan odnieść się do problemu? Pytam, bo to zagadnienie niesłychanie mnie nurtuje, a przedustawne założenie, zgodnie z którym aktywność teoretyczna w naukach humanistycznych nie może być twórcza, wprawia mnie niestety w stan irytacji.

Grzegorz Godlewski – Irytuje Panią głównie to, że odbiera się aktywności teoretycznej wartość?

Żaneta Nalewajk – To także. Problem wydaje mi się wielopłaszczyznowy.

Grzegorz Godlewski – Myślę, że nauki humanistyczne mają zupełnie inny status niż nauki ścisłe, dlatego też ich ustalenia powinny być weryfikowane w zupełnie inny sposób. Celem humanistyki jest interpretacja świata i człowieka. Trudno przykładać do niej miary stosowane w naukach ścisłych, bo tutaj nie ma dróg, które można uznać za absolutnie słuszne, choć zdarzają się – to stosunkowo rzadkie przypadki – rozwiązania całkowicie błędne. Humanistyka jest w znacznej mierze sztuką interpretacji, która porusza się w rejonach, gdzie nie zwycięża się dzięki pogięciu konkurencyjnej teorii, wykazaniu jej fałszu. Powodzenie w tej dyscyplinie zależy od tego, czy

dana propozycja ma większą siłę przekonywania niż inne, czy potrafi uwieść odbiorcę, wykazać, że po zapoznaniu się z nią świat staje się bardziej zrozumiały. Kiedy do przedmiotu dyscyplin humanistycznych przyłożymy procedury stosowane w naukach ścisłych, efekt tych zabiegów musi przypominać bredzenie wariata. Humanistyka, mówiąc najprościej, jest odmienną instytucją kulturową, która tworzy odrębny dyskurs.

Żaneta Nalewajk – Problem oceny dorobku nauk humanistycznych ujawnia się wyraziście także w jego potocznym odbiorze. Coraz częściej wytyka się tekstom literaturoznawczym hermetyczność, a badaczom, że zamykają się w getcie i tracą kontakt z rzeczywistością. Trudno się dziwić, że Auden zazdrościł matematykom, którzy nie muszą zmagać się z zarzutami zbytnej komplikacji teorii, odpierać ataków przypuszczanych przez oburzonych kasjerów. Może „ludzie słowa” skazani są na taki los?

Krzysztofa Krowiranda – Nierzadko opacznie pojmowane ustalenia literaturoznawców bywają nazywane, mówiąc eufemistycznie, austriackim gadaniem.

Grzegorz Godlewski – Trudno mi stawiać się w roli komentatora zjawiska, które może mieć różne źródła. Z jednej strony w humanistyce można znaleźć przejawy działań zasługujących na krytykę. Z drugiej zaś z pewnością nie brakuje ludzi, którym taka funkcja kulturowa, jaką pełnią nauki humanistyczne, wydaje się zupełnie niepotrzebna. Skłonność do odmawiania wartości takiej aktywności teoretycznej przypisywałbym późnym, coraz głębszym konsekwencjom kultury masowej. Współczesna kultura dominująca została dostosowana do możliwości rozumienia średnio inteligentnego nastolatka i taka ma być w założeniu. Wszystko, co wykracza poza ten pułap, jawi się dla człowieka masowego jako coś, co może niekoniecznie trzeba tępić, ale co nie wymaga uwagi, przez swój niszowy charakter. Wzorcotwórcze funkcje instytucji i autorytetów znalazły się w głębokim kryzysie. Nie oznacza to, że ludzie zasługujący na miano autorytetów już nie istnieją, że nie powstają

arcydzieła. Nie dostrzega się ich po prostu. Taki stan rzeczy związany jest ze zmianą modelu kultury i niestety ma swoje źródła w fałszywie zorientowanych koncepcjach egalitarystycznych, polegających na przyklaskiwaniu hasłu, że wszyscy mamy równe żołądki. A skoro żołądki są równe, to identyczne muszą być także mózgi, więc jeśli ja czegoś nie rozumiem, to znaczy, że nie jest to potrzebne. Diagnoza, którą przedstawiam, nie należy do skomplikowanych, bo opisywane zjawisko jest dość prostackie i na więcej nie zasługuje. Natomiast muszę przyznać, że równolegle w naukach humanistycznych pojawiają się takie formy eksplikacji, które świadomie zaciemniają, mnożą zasłony między człowiekiem a rzeczywistością. Kusi mnie, żeby zaproponować psychoanalityczną interpretację tego zjawiska. Piszący pragną otoczyć świat dyskursem jak kokonem, żeby całkowicie nie rozpadł się im w rękach. Takie podejście do roli humanistyki bardzo mnie irytuje. Żeby oddać sprawiedliwość tradycji humanistyki, tej sztuce interpretacji, trzeba powiedzieć, że mistrzowie nadal tworzą fantastyczne interpretacje, które otwierają czytającego na rzeczywistość, ale pojawiają się też teksty niejasne, tworzące kokon wokół świata.

Krzysztofa Krowiranda – Teksty będące rodzajem gwałtu na hermeneutyce?

Grzegorz Godlewski – Tak. Nie chcę sporządzać listy nazwisk, żeby nie wyszło na to, że odreagowuję frustracje, a może również własne ułomności poznawcze (*śmiech*).

Krzysztofa Krowiranda – Nazwisko Lacana właśnie zostało wywołane.

Grzegorz Godlewski – Tak, chociaż niedawno ktoś mnie przekonywał, że właśnie przeczytał bardzo dobrą, przejrzystą i interesującą rekonstrukcję myśli Lacana.

Żaneta Nalewajk – Jasną, pionierską rekonstrukcją koncepcji Lacana znaleźć można w książce Pawła Dybla pt. *Urwane ścieżki. Przybyszewski – Freud – Lacan*, chociaż analiza wierszy Leśmiana kategoriami Lacanowskimi

zupełnie mnie nie przekonała. Zatraciła się w niej specyfika i aura Leśmianowskiej poezji.

Krzysztofa Krowiranda – Zadam kolejne pytanie w pełnym oderwaniu od poruszonego właśnie wątku. Wskazując jeden z najistotniejszych nurtów rozwojowych prozy najnowszej, Przemysław Czapliński pisze: „Nieepicki model nie tyle unieważnia naśladowczy aspekt prozy, ile problematyzuje *mimesis*, wskazując, że byt i język są jednym, a zatem, że słowo nie może nie przedstawiać świata”. Czy zgodziłby się Pan z takim stwierdzeniem?

Grzegorz Godlewski – Nie bardzo rozumiem tę wypowiedź, szczerze mówiąc, bo jeżeli się mówi o problematyzacji *mimesis*, a z drugiej strony twierdzi się, że byt i język są jednym, to nie ma czego naśladować.

Żaneta Nalewajk – Kiedy utożsamia się byt z językiem, *mimesis* przestaje być problemem, wydaje się, że w takiej sytuacji kategoria ta traci użyteczność.

Krzysztofa Krowiranda – Mamy tu do czynienia z problematyką *mimesis* w takim sensie, że jest ona pokazywana i nazywana. Na przykład książka Magdaleny Tulli pod tytułem *Tryby* została napisana w taki sposób, że widoczne staje się w niej to, że świat wyłania się ze słowa, że powoływanie do istnienia świata i opowieści jest jednym i tym samym aktem. O bohaterze swojej książki Tulli pisze: „został powołany razem z butami”, albo „powołano go razem z oknem (...) z całą pękającą w szwach przeszłością, żeby nie wyglądało na to, że urodził się wczoraj”. Za motto zaś całej opowieści autorki mógłby posłużyć, także pochodzący z *Trybów* cytat: „słowami da się wprawić w ruch wszystko”. Tulli pokazuje, jak słowa zwijają się w kłębki opowieści. Ten motyw nieustannie powraca. Z każdym kolejnym słowem powstają nowe elementy historii. Chodziłoby zatem o konstruowanie świata wyłącznie ze słów, ale w taki sposób, by nie zatracił waloru konkretności, realności, by pozostał dla odbiorcy

rozpoznawalny. Podobny zabieg stosuje w swoich tekstach Zbigniew Kruszyński.

Grzegorz Godlewski – Mój kontakt z literaturą najnowszą jest bardzo selektywny, ale opierając się na Pani interpretacji, mogę powiedzieć, że się z tym zgadzam. Zadaniem literatury nie musi być stwarzanie obrazu rzeczywistości. Funkcja mimetyczna w literaturze ma charakter historyczny, aktualizowała się na przestrzeni dziejów kilkakrotnie. Spektakularnym tego przejawem była literatura przełomu XVIII i XIX wieku. Funkcja mimetyczna dzieła literackiego wiąże się najczęściej z jakąś ogólną dysfunkcją kultury. Wtedy literatura mimetyczna staje się potrzebna, żeby ludzie mogli się w niej przejrzeć, zobaczyć, kim są, uświadomić sobie swoje własne aspiracje, miejsce w świecie. Mimetyczność nie jest podstawową i niezbędną funkcją literatury, choć literatura może ją czasowo i zastępczo spełniać. Głównym zadaniem literatury jest stwarzanie świata ze słów, stwarzanie takiej rzeczywistości, której siłą i przeznaczeniem jest bycie słowne. Rzuca ono jednak jakieś światło na świat rzeczywisty. Każde dzieło to projekcja jakiegoś świata. To, co tkwi w słowach, pozwala niejednokrotnie wykroczyć poza nasze bezrefleksyjne, automatyczne doświadczenie świata. Nie chodzi mi wyłącznie o takie stwarzanie odrębnych światów, z jakim mamy do czynienia na przykład w tekstach poetyckich Leśmiana, ale również o dezautomatyzację naszego doświadczania rzeczywistości. To właśnie uważam za podstawową funkcję literatury, a nie czystą kreację światów wyobrażonych, osobnych. Czasami można sobie w nich pomieszkać, ale nie da się w nich zamieszkać. Choć niektórzy to robią...

Krzysztofa Krowiranda – Takimi przypadkami zajmuje się psychiatria.
(*śmiech*)

Grzegorz Godlewski – Właśnie. Wracając jednak do kwestii dezautomatyzacji, chcę podkreślić, że te stwarzane przez literaturę światy powinny postawić w innym świetle moje własne doświadczenia i odkryć mi to,

czego wcześniej nie dostrzegałem, ale nie jako coś zupełnie fikcyjnego. Funkcja tak rozumianej literatury przypomina trochę koncepcję śmiechu u Bergsona. Filozof był zdania, że śmiech dezautomatyzuje nasze zachowanie. Jednym ze źródeł śmiechu jest właśnie komizm językowy. Śmieszy to, co wydaje się niekonwencjonalne, dziwne, bawią zaskakujące zestawienia słów. W literaturze, o której mówię, tak jak w klasycznych definicjach awangardowych, słowa mają się sobie dziwić. Ale nie dla samego zdziwienia. Powinny one umożliwiać dezautomatyzację doświadczenia i postrzegania rzeczywistości, prowokować niekonwencjonalne skojarzenia, otwierać oczy na zupełnie inne siatki połączeń międzywyrazowych, poszerzać granice naszego świata. Literatura przypomina centralny układ nerwowy – kiedy proponuję takie porównania, czuję się dość niepewnie – istotna jest nie tylko objętość, ale przede wszystkim sieć połączeń. Nie można zatem powiedzieć, że granice rzeczywistości rozszerzają się wyłącznie dzięki ekspansji języka. Taki proces zachodzi głównie dzięki komplikacji wewnętrznej sieci połączeń międzysłownych.

Krzysztofa Krowiranda – We wspomnianym modelu prozy stosowany jest chwyt udziwnienia, polegający na pokazaniu oczywistości, stwierdzeniu, wręcz opowiedzeniu o tym, że świat składa się ze słów. To właśnie z nich rzeczywistość na oczach odbiorcy powoływana jest do życia. Mało tego, do opisu owego świata używane są kategorie filologiczne, jako zupełnie adekwatne i zupełnie oczywiste. Kruszyński w *Szkicach historycznych* pisze: „A podejrzani nie zostają w tyle. Mówią, mówią, talent fabularny, aż powieść wystąpiła z brzegów i nie starcza nam już kwestionariuszy przesłuchania, rzeki. Ich projektanci zakładali zwięzłość, nie sądzili, że uda się schwytać wylewnych narratorów. Trzeba by nam Bachtina, by to posegregować, a specjaliści odbywali szkolenie w innym dziale. Szkoda, bo zrobiliby z tuzin doktoratów na temat kategorii narratora nic nie wiedzącego.”

Grzegorz Godlewski – Na tym właśnie materiale dobrze widać, jak nieadekwatne są kategorie fikcji i kłamstwa. Chciałoby się zapytać czy

zastosowane w takiej literaturze chwytły są prawdą. Niezupełnie. Ale czy powinno się nazywać je fikcją? Nie, bo takie zestawienie słów można pomyśleć. Jawi się ono jako hipoteza, intencja lub projekcja świata.

Krzysztofa Krowiranda – Kojarzy się to z założeniami postmodernizmu i powszechnym dla jego przedstawicieli przekonaniem, że wszystko jest tekstem, że świat jest tekstem. Poziomy fikcjonalności mogą być mnożone właściwie aż do absurdu.

Grzegorz Godlewski – W tym momencie wracam do tego, co mówiłem o obawach przed monopolem medium. Takim medium jest również tekst. Ma ono niesłychany potencjał, ale czasami oferowane przez niego możliwości stają się zagrożeniem. Wtedy tekst próbuje sterować myśleniem.

Żaneta Nalewajk – Teoriom, zgodnie z którymi wszystko jest tekstem przeczy znane każdemu śmiertelnikowi doznanie niewyrażalności. Także dziecięce doświadczenie świata odmawia racji takim koncepcjom. To, że na początku swojego życia dziecko jeszcze nie mówi, nie oznacza, że się zupełnie nie komunikuje z otoczeniem.

Grzegorz Godlewski – Właśnie tak. Język ma swoje granice. Istnieją przecież sfery przedjęzykowe, doświadczenie niewyrażalności. Natomiast tekstowemu medium można się poddać, tak jak można się uzależnić od komputera. Wtedy człowiek zatapia się w tekście, staje się istotą tekstową. Taką sytuację należałoby niewątpliwie uznać za rodzaj zagrożenia. Wraz z wyłanianiem się nowych możliwości, pojawiają się kolejne niebezpieczeństwa. Możliwości stwarzania światów, jakie daje literatura, mogą odświeżać i dezautomatyzować codzienne doświadczenia człowieka, ale jeżeli ktoś uważa, że wszystko jest tekstem, to o takiej odnowie nie ma mowy. Tworzy się wówczas „rzeczywistość osobna”, z której nie ma ucieczki. Ta droga donikąd nie prowadzi.

Żaneta Nalewajk – Andrzej Drózdź w tekście *Literatura piękna jako źródło wiedzy o książce i bibliotece* zastanawiając się nad *logosem* –

podstawową kategorią epistemologiczną starożytności – przypomina Platońskiego *Kratylosa* i wpisane weń przekonanie o jedności słowa i rzeczy oraz koncepcję Heraklita, który sądził, iż poddanie świata refleksji czyni go rozumnym. „Jego budulcem – pisze Drożdż – stawało się słowo, a wchodząc jeszcze głębiej w tajemnicę bytu i mowy – ich *elementy*: atomy oraz litery, na określenie których Grecy używali tego samego wyrazu, co na elementarne składniki materii. Późnoantyczny filozof Sextus Empiryk i inni filozofowie sceptycy zarzucali Heraklitowi dogmatyzm, gdyż teoria logosu miała charakter *quasi-teologiczny*. [W dwudziestym wieku] Hans-Georg Gadamer, który kwestię logosu uczynił przedmiotem rozważań w trzeciej części *Prawdy i metody*, pisze o rewolucji duchowej, jaka się dokonała pod wpływem chrześcijaństwa, dla którego Słowo stało się ucieleśnieniem Boga. Dzięki temu »wydarzeniu« została przełamana neoplatońska pogarda dla materii. Skutki »inkarnacji w słowie« były podniosłe również dla książki, która pośrednio została wywyższona razem z Chrystusem, objawiającym swą obecność w Ewangeliach». Czy zgadza się Pan ze stwierdzeniem, że „w perspektywie logosu słowo mówione spotyka się ze słowem pisanym, [...] kultury: oralna i cyrograficzno-typograficzna odzyskują utraconą jedność”? Czy współcześnie można zaobserwować jakies przejawy przekonania o jedności słów i rzeczy?

Grzegorz Godlewski – *Logos* należy do kategorii wielokrotnie złożonych. Chętniej odpowiedziałbym na pytanie oparte na trochę innej interpretacji kategorii *logosu*: to znaczy o możliwość obiektywnego istnienia prawdy, wartości, rozumności i o rolę słowa w procesie ich obiektywizacji.

Żaneta Nalewajk – W takim razie zadam Panu pytanie, które sam Pan sformułował. Czy współcześnie można mówić o obiektywnym istnieniu wartości? Jaką funkcję pełni język w procesie ich obiektywizacji?

Grzegorz Godlewski – Dla Greków *logos* był czymś zupełnie innym niż dla nas współczesnych. Myślę, że w obecnych czasach nie może być mowy o obiektywności, bo nie ma stabilnego gruntu. Pewny, zakorzeniony,

niekwestionowany porządek nie istnieje. W refleksji nad istnieniem wartości można mówić jedynie o procesie obiektywizacji, który nie jest procesem o charakterze kumulatywnym – ma swoje wzloty i upadki. Niektórych sfer rzeczywistości wartości trzymają się mocniej, w innych stają się trudno zauważalne. W tym pierwszym przypadku można mówić o „intensyfikacji wartości” – zjawisku otaczania ich jak największą siecią przyzwoleń i akceptacji. Sądzę, że nie da się odnieść greckiej kategorii *logosu* do współczesności. Słowo samo w sobie nie stanowi jednak gruntu ani nośnika dla wartości, może z wyjątkiem słowa objawionego, ale ono jawi się jako osobna część doświadczenia. Jeśli używa się języka po to, żeby kłamać, wówczas nie może on niczego jednoznacznie i na trwałe ustabilizować. Gotowość do kłamstwa, skutecznego kłamstwa, nie jest tylko przypadłością języka, ale jego rdzenną własnością. Słowo może jednak pełnić niesłychanie ważną społeczną funkcję. Język umożliwia negocjowanie i stabilizowanie znaczeń, tworzy mentalne nisze dla wartości, pozwala je chronić. Dzięki językowi rzeczywistość podlega modelowaniu, czasami dotyczy to również wartości.

Krzysztofa Krowiranda – W prozie najnowszej często spotkać się można z „metaforą języka jako śmietnika”, zbiorowiska odpadów słownych, których znaczenie, wytarte, zużyte, traci właściwości nazywania, ujmowania, przekazywania. Wybór niektórych z nich, a pominięcie innych wydaje się przypadkowy i bez znaczenia. Na potwierdzenie tej obserwacji przytoczę dość długi, a smakowity fragment z książki Joanny Wilengowskiej zatytułowanej *Japońska wioska*, w której autorka bawi się poczuciem kryzysowości na różnych płaszczyznach i daje plastyczny wyraz wspomnianej metaforze:

„Koniec drogi, ostatnia granica – kiedy świat staje się wyliczanką. [...] – Teraz też – brać całą drobnicę jak leci. Bez wybierania i przebiegania. Co tam leci, głupie czy mądre, to brać. Nie ma rzeczy zbyt drobnych. Żadnego sitka, żadnego sortowania, brać jak leci, bo wszystko coś tam ma w sobie, coś tam znaczy, japońskie czy polskie, może być nawet zniszczone, może być

podrabiane, fałszywki też brać. Nie ma co wybrzydzać. Brać całą drobnicę, wszyściutko. Zbierać cały ten szlam, wszystko, co dla innych szajsem. Niech to będzie:

- sposób, w jaki układają batoniki przy kasie
- sposób, w jaki trzeba się schylić, żeby kupić bilet w kiosku
- sposób, w jaki ona wycmokuje resztki jedzenia z zęba”.

Czy nie ma Pan wrażenia, że taki obraz języka, sprowadzony do oczywistości, już „nudzący”, „przejedzony”, zaczyna obecnie dominować? I że stanowi on doskonały wyraz poczucia utraty fundamentów, splątania kryteriów, niemożności i nieważności odróżnienia rzeczy, słów, kategorii? A może jest to również krańcowa, szydercza, parodystyczna wersja uniwersalizacji języka pisanego (w opozycji do lokalnego, jednostkowego słowa mówionego)? Czy nie ma Pan wrażenia, że znikły gdzieś te kryteria, które stanowiły o mocy słowa? Czy to jest tak, że te znaczenia się „spręły” i leżą na śmietniku?

Grzegorz Godlewski – Takie diagnozy formułuje się dość często. Że są to diagnozy oczywiste – to za dużo powiedziane, wydają się one jednak bliskie oczywistości, w przeciwieństwie do ich konsekwencji. Jak wiadomo pojęcie kryzysu pochodzi z dwóch dziedzin – medycyny i ekonomii, zwłaszcza z tej ostatniej. Przyczyną większości kryzysów ekonomicznych, o czym przekonuje wiek XX, była nadprodukcja. We wskazanym przez Panią przypadku nie jest inaczej. Nieustanne zwiększanie się liczby coraz sprawniejszych mediów stwarza taką logosferę, którą trudno niekiedy odróżnić od logorei. W czasie kryzysu ekonomicznego naturalną i najczęściej spotykaną reakcją ludzi nie jest powstrzymanie się od konsumpcji, ale robienie zapasów. Wtedy pojawia się inflacja. Przez analogię można mówić o współczesnej inflacji słowa. Mamy więc do czynienia z sytuacją paradoksalną. Im większy kryzys, tym więcej słów. Prawie dwadzieścia lat temu napisałem, z okazji wystąpienia na pewnym sympozjum, natchniony tekst, który nosił tytuł *W poszukiwaniu echa*. Teraz, w trakcie rozmowy z Panią, uświadomiłem sobie, że powtórzyłem wstępną

diagnozę z tego szkicu. I to jest nieuchronne – nie da się ludziom powiedzieć, tak jak w kryzysie ekonomicznym, przez jakiś czas nie kupujcie, wyrówna się i będzie dobrze. W czasach kryzysu nie sposób wytłumaczyć ludziom, że gdyby przez jakiś czas powstrzymali się od kupowania, zostałby on zażegnany. Nie wystarczy im o tym powiedzieć, bo gdyby niektórzy z nich zastosowali się do tych rad, mogliby nie przeżyć. Inflacja postępuje. Pieniądze tracą na wartości, potrzeba ich coraz więcej. Ze słowem jest podobnie. Jego dewaluacja sprzyja *logorei*. To, co mówię, nie jest żadną pedagogią społeczną. Nie da się namówić wszystkich, by starali się nie nadużywać słów. Natomiast indywidualnie można spróbować zastosować strategię wycofania. We wspomnianym tekście pisałem o postawie poszukiwania echa. Kiedy się dużo mówi, to zatracą się umiejętności słuchania, nie tylko innych, ale i samego siebie. Gdy człowiek mówi, trudno mu się słucha, bo jest zajęty mówieniem. Dlatego należałoby poszukiwać sytuacji, w których, dosłownie albo figuralnie, można usłyszeć echo własnych wypowiedzi. Aby zrozumieć, co one naprawdę znaczą, trzeba się wycofać, stworzyć takie warunki, żeby słowa miały się od czego odbić. Nie mogą one odbić się od cudzych głosów, bo własnego głosu nie da się usłyszeć w gwarze. Do tego potrzebna jest asceza, na którą niewielu jest się w stanie zdobyć. Owo wycofanie wydaje się czymś niesłychanie trudnym, potrzeba niekiedy do tego niesłychanego egotyzmu. Kto mógłby zrealizować te postulaty, jeśli nie artyści? Realizacja sprzecznych zadań leży jednak poza zasięgiem ich możliwości. Znamy przecież twórców, którzy próbują się z tym mierzyć. Myślę, że taka zwrotna nadprodukcja słów, liczenie na to, że coś wyniknie z *recyklingu*, okazuje się postawą w jakiejś mierze zrozumiałą, ale pod warunkiem, że rozumieć, to nie znaczy wybaczyć.

Krzysztofa Krowiranda – Postaram się tu trochę wytłumaczyć. Nie dlatego przywołałam tutaj Wilengowską że uważam diagnozy zawarte w jej powieści za wybitnie odkrywcze, ale dlatego, że autorka wyciąga na światło dzienne to, o czym się współcześnie mówi. Zewsząd dobiegają „głosy

kryzysowe”, narzekania, wyrzekania, natomiast Wilengowska bawi się tym kryzysem, czerpie ze śmietnika słów, obrazuje na żywym materiale literackim, bardzo dawną, ale wciąż aktualną sentencję Michela Raimonda Irzykowskiego, który odnośnie kryzysu powieści pisał: „Kryzys powieści jest obsesją naszych czasów”. Wilengowska niby obsesyjnie jakoby szuka tematów do opowieści, gmera w tym wysypisku, „bierze co podłeci”. Wychodzi z tego dziewięćdziesięciostronicowa powieść sprawiająca wrażenie tekstu bez tematu, książki o tym, że nie ma o czym pisać. To też jest stara diagnoza. Myślę jednak, że *Japońska wioska* porusza problem na wyższym poziomie. Chodzi w niej nie tyle o odkrycia intelektualne, ile o zabawę kategorią kryzysu. Autorka przywołuje rozmaite pojęcia naukowe, bawi się słowami, kpi ze wszystkiego, mówi o *id* „bezczelny gnojek” i wysyła je do kąta. Przytoczę anegdotycznie, zapożyczony przez autorkę, jak to sama nazywa, test na intelektualizm: *Jeżeli znasz więcej niż dwie osoby używające słów: hylozoizm, epifanie bądź solipsyzm, obracasz się w towarzystwie intelektualistów. Jeżeli sam używasz takich słów – jesteś intelektualistą. Jeżeli rozumiesz, co te słowa znaczą, wyjedź stąd jak najszybciej – masz szansę na karierę w branży.* (śmiech) Wilengowska po prostu plastycznie wspomnianą metaforę śmietnika prezentuje.

Żaneta Nalewajk – Warto zwrócić uwagę na związek tego nadmiaru słów z pojawieniem się nowych mediów i technologii. Współcześnie właściwie nie sposób odseparować omawianej przez nas problematyki od tego kontekstu. Przypomniała mi się właśnie jedna z diagnoz Jeana Baudrillarda, która wydaje mi się trafna, choć moim zdaniem ten badacz często celuje w formułowaniu wypowiedzi nieprecyzyjnych, mętnych znaczeniowo, pozbawionych egzemplifikacji, niesystematycznych. Wracając jednak do rozpoznania autora *Ameryki* warto może przypomnieć, że zwracał on uwagę na to, że przytłoczeni nieprawdopodobną ilością informacji serwowanych przez media, nie wzbogacamy zasobów naszej wiedzy. Przeciwnie. Tracimy zdolność zapamiętywania. Nie jesteśmy w stanie przyswoić wszystkich wiadomości,

przechowywać ich nawet w pamięci krótkotrwałej, na skutek czego żaden obraz całości nie może się wyłonić. Czy mógłby się Pan odnieść do wcale nierzadkich konstatacji (skoro już o Baudrillardzie była mowa, wspomnę tylko o jego teorii symulaków), z których wynika, że współcześnie możemy obserwować zmierzch paradygmatu kultury opartej na dominacji pisma i wyłanianie się nowego wzorca kulturowego nowego, pozostającego pod wpływem kodów audiowizualnych. Na czym polega specyfika tej przemiany, jakie są jej konsekwencje?

Grzegorz Godlewski – Zwykle nie odnoszę się aprobatywnie do wypowiedzi Baudrillarda, ale pod tym względem zgadzam się z nim. Nie należę do zwolenników teorii autora *Precesji symulaków*, uważam go za myśliciela historycznego. Ale niektóre jego diagnozy są ciekawe. Do bardzo mocnych należy ta, że żyjemy w świecie fantomatycznym, w którym fantazmaty zastępują rzeczywistość. Stwierdzenie, że żyjemy wyłącznie w takim świecie, można usprawiedliwić, o ile przyjąć, że ktoś, kto chce ostrzec innych przed zagrożeniem, posługuje się hiperbolą. Inna rzecz, że mnie te hiperboliczne opisy Baudrillarda nie przekonują. Daleki jestem od przekonania, że wszystkie elementy mojego doświadczenia są zapośredniczone przez fantazmaty. Ale zgadzam się z diagnozą o nadmiarze informacji, które nie dają się przyswoić, zapamiętać. Jeżeli patrzy się na ten problem z perspektywy mediów technicznych, zwłaszcza audiowizualnych, z jednej strony uderza ogromna sugestywność przekazu, z drugiej zaś to potworne zagęszczenie informacyjne, które sprawia, że nie reagujemy na słowa, na które normalnie byśmy zareagowali, słowa dotyczące sytuacji ostatecznych takich jak: choroba, śmierć, cierpienie. To dość banalna, często powtarzająca się diagnoza.

Żaneta Nalewajk - Ale ma ona niebanalne konsekwencje.

Grzegorz Godlewski – Proszę zwrócić uwagę na to, co się działo w związku z katastrofą tsunami – ludzie przerzucali kanały, a kiedy relacje o tej tragedii pokazywane były we wszystkich stacjach, zwyczajnie przestawało się

chcieć je oglądać, bo ile można. A potem wychodzi ktoś z domu, widzi psa ze złamaną nogą i budzą się w nim uczucia, przynajmniej w niektórych, zupełnie niewspółmierne – zestawienie całych zbiorowości i złamana noga psa. Ale w przypadku psa styka się ów człowiek z bliskim sobie światem. To nie jest wina samych słów. Problem leży w tym, do czego i jak są używane. Słowa zapośredniczone przez medium mogą oddzielić człowieka od rzeczywistości w sposób radykalny. Myślę jednak, że nie jest to częste zjawisko. Z wyjątkiem grona nawiedzonych osób, którym bohaterowie serialu mylą się z aktorami, większość ludzi ma jednak zdolność odróżniania tego, co rzeczywiste, od świata fikcyjnego.

Żaneta Nalewajk – Nierzadko aktorzy grający postaci negatywne skarżą się na to, że są zaczepiani przez widzów na ulicy w sposób agresywny. Scenarzyści dostają stosy histerycznych listów.

Grzegorz Godlewski - Tak, tak. Powstają epistoły w stylu: „Panie!!! Niech ona za niego nie wychodzi, przecież to łajdak, przecież on ją zdradzi za rok, no przecież to widać!!!”. Sądzę jednak, że odsetek osób, którym rzeczywistość myli się ze światem fikcyjnym, zapośredniczonym, nie jest aż tak wielki. Jeżeli jednak sfera fikcji wdziera się do rzeczywistości z coraz większą siłą, to nasze możliwości doświadczenia w rejestrach, które przez znaczną część trwania naszej cywilizacji były dla człowieka podstawowe, minimalizują się. Kiedy mówiłem o zagrożeniach związanych z monopolem jakiegoś medium, to chciałem podkreślić, że doświadczenie bezpośrednie nie jest utopią. Dzięki niemu zdolni jesteśmy do przeżywania niektórych uczuć.

Żaneta Nalewajk – Do ponoszenia odpowiedzialności za sytuacje, jakie współtworzymy i w których się znaleźliśmy.

Grzegorz Godlewski – Bez wątpienia.

Żaneta Nalewajk – Kiedy w rzeczywistości przydarza się nam jakaś mniej lub bardziej dramatyczna sytuacja, gdy na przykład spotykamy na ulicy psa ze złamaną łapą i decydujemy się nie udzielić mu pomocy, wejść w rolę

widza, to takie zdarzenie bardziej nas obciąża, niż obserwacja analogicznego obrazu na ekranie telewizyjnym. Chcę przez to powiedzieć, że media są indyferentne etycznie. Wolno nam bezkarnie się przyglądać. Kontakt bezpośredni znacznie więcej wymaga od człowieka.

Grzegorz Godlewski – To trafne spostrzeżenie. Media są indyferentne etycznie. Można je uznać za niemoralne tylko w tym sensie, że daje się je wykorzystywać do różnych celów. Gdy uzurpują sobie prawo do wyłączności, to z pewnością nie wróży nic dobrego. Natomiast są przypadki, w których media, oskarżane o rzeczy z reguły najgorsze, nie starały się o wyłączność, świadomie współpracowały z rzeczywistością pozamedialną. Przykładem może być konstruktywna rola, jaką odegrała telewizja w ostatnich dniach życia papieża. Dopiero wtedy, kiedy zaczęto pokazywać zgromadzenia na Placu św. Piotra, w polskim społeczeństwie ożyła potrzeba samoorganizacji, pragnienie doświadczenia współbicia. Jedno po drugim, w kilku miastach równocześnie powstawały lokalne zgromadzenia. Tam również pojawiły się media. Ale nie zagłuszały one rzeczywistości bezpośredniej, nie działały przeciwko niej. Innym przykładem mogą być nagłaśniane przez radio i telewizję akcje charytatywne, takie jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, która jest oczywiście wydarzeniem medialnym, ale pozwala ona ludziom, szkoda, że w formie zastępczej i jednorazowej, ograniczającej się do „zbierania kasy”, zjednoczyć się, zobaczyć wspólne cele. A to już jest coś bardzo konkretnego. W tym przypadku media współpracują z rzeczywistością dla dobra obu stron. Media, podobnie jak słowo, są bronią obusieczną. Potrafią zniewalać i wyzwalać.